

Stanisława Serafińska

NASZE WAKACJE¹ Z OPOWIADANIA UCZENNICZY

Od redakcji:

Stanisława Serafińska (1856-1924), krewna i bliski świadek życia Jana Matejki, niejednokrotnie uczestniczyła w wakacyjnych wyjazdach rodziny wielkiego malarza.² Przez lata spisywała pamiętniki, na podstawie których powstały *Wspomnienia rodzinne*, opublikowane w 1955 roku przez Wydawnictwo Literackie. W 1887 roku miesięcznik „Świąteczko” ze Stanisławowa drukował w odcinkach opowiadanie Stanisławy pt. *Nasze wakacje*, będące swoistą reminiscencją pobytu „u wód” w Żegiestowie. Kopie poszczególnych egzemplarzy „Świąteczka” otrzymaliśmy od p. Marii Serafińskiej-Domańskiej. Z konieczności musieliśmy skrócić opowiadanie, wybierając przede wszystkim fragmenty dotyczące samego Żegiestowa.



Ja i mój brat Henryk jedziemy zawsze na wakacje do babci do W³. Myślę, że chyba nigdzie na świecie nie mogłoby nam być tak dobrze jak tam, w tym małym domku i w tym zielonym ogródku. To też jak marcowe słońce przyświeci, śnieg topnieć zacznie, jak potem w kwietniu zazielenią się trawniki po plantach, jak jeszcze kaszany kwitnąć i pachnąc zacząć, nie ustajemy wdychać obydwójce: Och mój Boże, żeby się też jak najprędzej te szkoły skończyły! Kazali nam

¹ Ze względów redakcyjnych unowocześniliśmy nieco dziewiętnastowieczną ortografię autorki opowiadania, a także wprowadziliśmy drobne zmiany w interpunkcji (przyp. red.).

² Zob.: Maria Serafińska-Domańska, *Tropem rodziny Jana Matejki. Wakacje w Żegiestowie*. „Almanach Muszyny” 2005, s. 149-150.

³ Chodzi o „Koryznówkę” w Wiśniczu.

przez wiosenne miesiące pić to zachwalane mleko prosto od krowy – zanim wyjedziemy na świeże powietrze. (...) To też ja ten czas, kiedy piliśmy „mleko prosto od krowy” zaliczam prawie do wakacji... Henryk mówi, że to śmieszne, „bo przecież” – powiada – „cały dzień smażyłaś się potem w szkole, a wieczór tak samo wyrabiałaś zadania”.

Ale niech tam – ja ten czas łączę jeszcze w myślach z chwilą, kiedy on swoje, a ja swoje zaświadczenie oddaliśmy ojcu. A ojcuś powiedział: – „Pojutrze pojedziecie do W”. I pojechaliśmy. Czekające na dworcu konie powiozły nas do domu, a kiedy przez otwartą na oścież bramę wjechaliśmy na podwórze – wszystkie psy i pieski, których jest tam u babci cała czereda, powitały nas głośnym szczekaniem; paw na dachu wrzasnął na całe gardło, spłoszone kaczki i kury rozleciały się z krzykiem na wszystkie strony – a pocziwa stara kotka, moja ulubienica, tak się tym wszystkim wystraszyła, że kiedy ujrawszy ją siedzącą na kadzi, prosto z wózka zeskoczyłam, żeby ją uściskać, nie poznała mnie i zadarłszy ogon do góry – prosto na dach drapnęła po rynnie. A dopiero witanie z dziadkiem i babcią, ze służącymi! „A jak wyrosli – jacy już duzi! Ale mizerni – mizerni – Henryś taki żółty, Wandzia zeszczupiała...” (...)

Aniśmy się domyślali wtedy, że te debaty i szeptania nad naszym złym wyglądem miały nam później zamącić spokój i pokrzyżować plany, narobić, że te nasze wakacje inne być miały niż wszystkie dotychczas w W. spędzone. (...)

Zawołano nas do pokoju. Ja, ze zmoczonym warkoczem, z rozburzonymi włosami, wyglądałam pewnie gorzej niż zawsze. Henryk, zdyszany szybkim biegiem, zakaszliwał się trochę. Tego też tylko trzeba było panu doktorowi.

Póty badał, pytał, pukał, aż oświadczył głośno, że ja mam początki błednicy... a Henryś katar w krtani zadawniony.

– Jedź pani z nimi do Żegiestowa – rzekł do mamy – dobrze to będzie dla obydwójga. Pannienka będzie piła wodę i będzie się kąpała w Popradzie, panicz napije się zętycy, kąpiel potem i górskie powietrze... Za 4 tygodnie będą zdrowi jak rybki. (...)

Henryk stał oparty o fortepian, z czołem tak zmarszczonem, z tak przedłużoną twarzą, że ja aż odwróciłam się do okna, żeby się w głos nie rozpląkać. (...)

Baliśmy się tego najbardziej, że nas tam w „kąpielach” męka czeka – nie swoboda. Same przygotowania do wyjazdu utwierdzały nas w tym przekonaniu i dały się wielce we znaki. (...) Nie chodziliśmy już prawie nigdzie, nie mówiliśmy o niczem innym tylko o wyjeździe. Żal nam było wszystkiego: ogrodu, kwiatków, agrestu, poziomek, lip w kwiecie pachnących, lasu, rzeczki, wszystkiego. Zupełnie tak samo, jak gdyby to był koniec wakacji, a to był dopiero początek. Czuliśmy urazę do babci i do dziadzia, że planowi temu nie sprzeciwili się, że pozwolili nam odjeżdżać. (...)

Teraz, gdy o tym opowiadam, wstyd mi po prostu, że byliśmy tacy dziecinni, tacy nic nieciekawi, tacy obojętni!

Wyleć ptakiem z twego gniazda,

Milać będzie taka jazda,

Spojrzeć z góry na tę ziemię

Na ojczyste twoje plemię – mówi Wincenty Pol we wstępie do „Pieśni o ziemi naszej”.

Toż obydwójga – i ja, i Henryk – umiemy na pamięć tyle wyjątków z „Pieśni o ziemi naszej”, a tak nam była niepożądana ta jazda, w której własnymi oczami mogliśmy poznać kawałek tej „ziemi naszej”!

Na dwa dni przed naszym wyjazdem dostaliśmy od ojca list i pakunek, a w nim załączona była mała liniowana książeczka. Na pierwszej czystej karcie, własną ręką ojca wypisane było: „Dziennik podróży”. W liście polecał ojciec, ażebyśmy obydwójga, a głównie Henryk, zapisywali wszystkie przygody, spostrzeżenia i wrażenia, wszystko, co nam się będzie, lub nie będzie, po-

dobąło w podróży i podczas pobytu w Żegiestowie.

Jako wstęp do dziennika, ojciec wypisał tam wszystkie miasteczka, około których przejeżdżać będziemy, przy każdym zamieścił małą notatkę o stanie, w jakim się obecnie znajdują, o ich pamiątkach historycznych, jeśli jakieś istnieją, i o wypadkach historycznych, jakich były widownią. (...)

Stało się więc, jedziemy. Z rana byliśmy z mamą na mszy św. w kościele. Byliśmy smutni. Babcia i dziadzio, żeby nas już do reszty nie rozżalać, żegnali nas wesoło. Rzeczy na stacji ekspedują się wprost na miejsce, bilety kupują się tylko do Tarnowa. W wagonie osób kilka – do okna dostać się nie można. Gruby pan i cienka pani wysiadają dopiero na drugiej stacji – rzucamy się oboje na ich miejsca. Pierwszy raz jedziemy koleją Karola Ludwika ku Tarnowowi, dotychczas jeździliśmy tylko prosto z Krakowa do W. (...)

Przyjeżdżamy do Tarnowa. W Tarnowie na dworcu czeka się przeszło godzinę. (...) Do miasta daleko, aby można pójść, a nawet objechać przed wyruszeniem pociągu; mielibyśmy wielką ochotę zobaczyć to na własne oczy, co mamy zanotowane w książeczce o Tarnowie. (...) Nic z tego jednak – dzwonią po raz drugi – wsiadamy szczęściem najpierw do wagonu, okna nasze! A jest na co patrzeć! Okolica za Tarnowem, począwszy od Tuchowa, coraz piękniejsza. Ciężkowice, małe miasteczko nad rzeką Białą, rozsiadło się na wzgórzu. Za miasteczkiem – cały stok góry zarzucony stosami kamieni, niby ruiny jakichś domów czy wielkiego zamczyska. Lud to „zakamieniałym miastem” nazywa – żeby tylko wiedzieć zaklęcie, co by go odczarowało, powstałoby miasto żywe – jak w bajce.

Jedziemy więc już linią kolei leluchowskiej. Wytknięcie i wybudowanie toru kolei miało być bardzo trudne, kosztowało wiele trudu i pieniędzy. Wzniesienie powierzchni ziemi jest coraz większe. Musiano w wielu miejscach znacznie zbaczać, zmieniać kierunek prosty, objeżdżać wzgórze dokoła, przerzucać liczne mosty na potokach, a nawet kopać tunele. (...) Wszędzie jednaki budynki na stacjach, jednakie domki dróżników... Przejeżdżamy miasteczko Bobową. Kobiety tamtejsze trudnią się wyrobem koronek klockowych. Stajemy pod dworcem w Grybowie. Na werandzie pijemy doskonałą kawę ze świeżymi bułeczkami, dzwonią – wsiadamy. Jedziemy dalej. Pociąg naprawdę zaczyna piąć się w górę. Objeżdżamy wzgórze dokoła, z okna wagonu widać z przeciwnej strony tor kolejowy, którym jechaliśmy pierwiej, znów ukazuje się małe miasteczko Grybów – ładne domki i wieża kościółka przegładają spomiędzy zielonych drzew. Okolica coraz piękniejsza.

Przejeżdżamy Ptaszkową, Kamionkę. Tak się nazywają stacje, a właściwie wsie, w których są stacje kolei. Jest nareszcie tunel zwany Kamionką. Cóż, kiedy bardzo króciutki. W wagonie naraz robi się ciemno – nie widzę Henryka ani mamy, lecz zanim się ma czas powiedzieć, jak to niemiło, zaczyna szarzeć, wraca światło i słońce – równocześnie więc miłego doznaje się wrażenia.

Przejeżdża się przez most na rzece Kamienicy. Wjeżdżamy w równinę Sandecką, gdzie Dunajec i Poprad zlewają swoje wody. Z daleka widać wieże kościołów i dużą grupę domów – to miasto Nowy Sącz, stolica Podhala. (...)

Najlepiej z całego Sącza podobał mi się widok z mostu na Dunajcu i sam Dunajec. Płynie on zaraz pod miastem, hałasuje i skacze po kamieniach, jak krakowski pauper po bruku. Fale wody płyną szybko – jakby się im najbardziej spieszyło, jedna goni za drugą, czasem po prostu jedna drugą przeskakuje i aż białą pianą pryska z radości. (...) Na południowej stronie – na samym widnokręgu, na chmurach – rzeźba odstająca wypukło, szereg szczybatych turni. To Tatry! Równie nad Dunajcem przypominają nasze błonia wiślańskie, dopiero owe Tatry, rysujące się na niebie, zimny wiatr wiejący od leżących tam śniegów, przywodzą na myśl, że jesteśmy daleko od Krakowa, że:

*Jak potopu świata fale
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu*

i wieją tym chłodem ostrym, a oczy nęcą ku sobie. Tośmy też stali i patrzyli na chmury przeciągające nad szczytami lub siadające na nich. (...) Na stacji pociąg zatrzymuje się niedługo. Za chwilę stajemy w Sączu Starym, pociąg przejeżdża koło kościoła i klasztoru Klarysek, w którym żyła i umarła św. królowa Kinga. (...)

Cała ziemia Sandecka z miastem starem była osobistą własnością Królowej Kingi. Bolesław Wstydlivy darował ją żonie – w zamian za posag jej, jaki przywiozła z Węgier, a który został użyty na potrzeby kraju, na wojny z Tatarami. Królowa Kinga założyła w [Starym] Sączu klasztor Klarysek, ku czci św. Klary, po śmierci męża sama przywdziała suknie zakonne i tutaj do końca życia pozostała. (...)

Długo z moim opowiadaniem zatrzymałam się w Sączu! Pociąg na stacji wcale się znów tak długo nie zatrzymuje, chociaż i to prawda, że kolej tarnowsko-leluchowska niezwykle powolnego jest usposobienia. Pociąg jedzie zwolnitka, a już na stacjach za Sączem zatrzymuje się chyba po to tylko, żeby porozmawiać z panem naczelnikiem, bo prawie nikt nowy nie wsiada, a pan naczelnik, w czerwonej czapce, uśmiecha się do przejeżdżającego pociągu, jak do miłego gościa – ktoś, komu się przykrzy w domu samemu.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez dwa małe miasteczka, Piwniczną i Rytro, zmrok zapadał coraz większy, niebo zachmurzyło się i drobny deszczyk mżyć począł. Z obydwóch stron pociągu, spoza mgły przeglądały góry ciemnozielone świerkowe, jaśniejsze liściaste. Dołem wił się i szumiął Poprad, spienione jego fale połyskiwały jak srebrna taśma. Płynie on stale wzdłuż biegu pociągu, aż do samego Żegiestowa.

Jest stacja Żegiestów i przystanek Żegiestów. Było już całkiem ciemno, gdyśmy stanęli w przystanku Żegiestowie, gdzie wysiadają goście kąpielowi. Przez drogę zapomnieliśmy o wszystkich naszych obawach, z jakimi jechaliśmy tutaj, sama tylko ciekawość ogarnęła nas całych. Jak na przekorę nic nie widać, cienka mgła drga w powietrzu. Jakieś światła migotają na przedzie, przeglądają drewniane ławeczki, biały piasek. Jakaś postać pomogła nam wysiadać, zabiera torby i szale. To służący z zakładu, oczekujący na gości. (...) Idziemy do góry. Z jednej strony widać zarysy pionowej skały, z drugiej ciemność! Poprad szumi złowrogo, zdaje się, że jeden fałszywy krok, a będziesz w głębi topieli, gdyby nie poręcz, nie cały stok góry i nie tor kolejowy poniżej, czego wszystkiego nie domyślałem się po nocy.

– Ależ to wspaniale! – wołamy – więc tak się idzie piechotą, zapewne niedaleko, przy tem czarnoksiężskim oświetleniu!

– Ach, cośmy dziś miały za rozmaitość! – mówią idące za nami panie. – Przechadzka, przejazdka łódkami, ognie bengalskie i to wszystko dzięki panu kapitanowi.

– To też te fakle – odzywa się jeden z chłopaków – pozostały od ognia!

– Tak, więc to czysty przypadek? Niech Bóg da zdrowie temu panu kapitanowi, że wszystkiego nie spotrzebował – szepce mi Henryś do ucha – bylibyśmy widocznie szli po ciemku.

Jakoż za niedługo pochodnie gasną – ogarniają nas głębokie ciemności. Postacie, które nam towarzyszyły, rozchodzą się gdzieś, wyprzedzają nas, nikną. Zostajemy z naszym przewodnikiem sami. (...)

Stajemy przed domem, światło padające z otwartych drzwi pozwala go dojrzeć. Wchodzimy po schodkach na ganek. W głębi drzwi stoi oparty słuszny mężczyzna.

– Jesteśmy ci a ci – mówią mama – mamy tu zamówione mieszkanie, począwszy od dzisiaj. Jegomość w drzwiach ogarnia nas wzrokiem pełnym wysokiego politowania.

– Pani dobrodziejko – mówi, nie zmieniając miejsca – albo to tu jeden czeka na mieszkanie!

Państwo B. starają się od miesiąca. Pani M. co dzień o to pisze z Krynicy, a mieszkań nie ma i nie ma. Żegiestów jest mały, malutki...

– Ależ panie, to nie może być! – wołamy wszyscy naraz. My mamy mieszkanie zapewnione, przyrzucone listownie. – Szukamy po kieszeniach tego dowodu, czarne na białym. Mama serio się niepokoi.

(...) Wyszliśmy wreszcie. Tomasz ze światłem, mimo tego ciemno, choć „oko wykół”. Idziemy ciągle pod górę, nie traciliśmy fantazji, śmiejemy się, żartujemy. Łaska Boska, że deszczu nie ma i że mateczka nie jest do zbytku zmęczona tą nocną wędrówką. Tomasz objaśnia nas, że zazwyczaj czeka na gości wózek z końmi na przystanku, dziś wyjątkowo przyjechać zapomniano. Henryś się śmieje, że wyraźnie przeczuwano w nas nie bardzo chorych gości. Z boku zaleciał mocny zapach rezedy. Ach! Więc tu są kwiaty!

Stanęliśmy nareszcie przed dużym budynkiem zdrojowego domu, gdzie nam przeznaczono mieszkanie. Nie był to jednak koniec naszych niepowodzeń. Dostaliśmy mieszkanie wysoko, na drugim piątrze, a do tego rozstap się ziemia, klucza do pokoju znaleźć nie było można. Jakiś pan zabrał go ze sobą! (...) Pan rządca w własnej osobie, straszliwie zdyszany, spocony, przyleciał z drugim egzemplarzem poszukiwanego klucza, a dobitnymi słowami, gromiąc za nieład całą domową służbę. (...) Stokrotne dzięki panu rządcy, że nas tak dobrze rozśmieszyl! Gdyby smutne oczy spojrzały na te łóżka, na których mieliśmy odpocząć, można się było od razu rozplakać. Szare, ostre, zgrzebne sienniki, goluteńkie, kolczasta słoma wygląda środkiem. Okropność! Jak mama przepędziła noc na tym „madejowern łożu”, nie chcę już ani wspominać. My porzucaliśmy się na nie z śmiechem. Henryk powiada, że spał jak zabity. Mnie też się usnąć udało, ale noc całą sniłam o więziennej kaźni, o garściach słomy, na których spoczywają tam nieszczęśliwi, słyszałam brzęk kajdan, ciężkie więźniów wzdychania.

A przebudzenie! Wszyscy bez wyjątku byliśmy w złych humorach, o bolących bokach, nawet Henryk, który przecie nieraz spał na sianie w stodole. Ale bodaj to świeże, pachnące siano, nie twarde, chropaty siennik!

Na dobitek deszcz bił na dworze. Przez okno tylnego pokoju zaglądała zielona ściana góry, po ścieżce, która nikła pomiędzy krzakami, chodziły już postacie kąpielowych gości. Pod wrażeniem tej nocy źle przespanej, tego niehumoru i tego deszczu nade wszystko, wyszedłszy z mamą na chodnik do kapliczki, uczuliśmy się znowu bardzo nieszczęśliwi.

Jesteśmy tu z musa, tylko z musa, mówiliśmy do siebie, musimy tu siedzieć całe tygodnie. Ani pierwszy spacer, ani cudny pomimo deszczu widok z altanki, ani dobra kawa na sali, nic nas nie mogło pogodzić z światem. W pierwszym liście do ojca Henryś napisał o Żegiestowie:

„Żegiestów – kochany tato – jest to wąska, zielona szpara, między dwoma wysokimi górami, ładna może, ale obecnie deszcz, mgła, światu Bożego nie widać”. A ja dopisałam: „Mój tatusiu, w Żegiestowie jest tak smutno, że ja tu naprawdę śmiać się zapomnę”.

Jak słońce zaświeciło, zmieniliśmy nieco zdanie, teraz zaś inaczej już i więcej opowiem o Żegiestowie i o naszym tam pobycie.

Zródło żelaznej wody żegiestowskiej odkrył w roku 1847 [1846] p. Medwecki, obywatel z sąsiedniego miasteczka, z Muszyny, poszukując w tych stronach rudy żelaznej. Postawił skromne łazienki i domki mieszkalne, z tych Alojzówka i Karolówka są najdawniejsze, później przybyły ładne wille z szwajcarskimi ozdobami i balkonami, jak Dom Popielaty, Pod Czołąbkim, Dom pod Wodospadem, Zegotka i wielki Dom Zdrojowy, gdzie na górze jest sala do zabaw i restauracja, a na dole źródło i kryte podnienie z żelaznymi arkadami, deptak dla gości pijących wodę podczas niepogody. Źródło ujęte w gładki kamień, dokoła ogrodzone żelazną balustradą. A co za pyszna woda! Pieni się i kłębi, tak silnie bije. A jaka obfita! Nigdy jej nie zbywa, pomimo, że tyle gości ją pija i w niej się kąpie. Córka ze wsi zabierają ją sobie konewkami do domów, dziewczęta

przy źródle niemiłosiernie rozlewają wkóło, a źródło zawsze pełne tego leku przyrządzonego ręką najlepszego aptekarza!

Woda żegiestowska, rozebrana chemicznie przez lekarzy, posiada obok innych części leczniczych więcej żelaza niż źródło w Krynicy, a wielka ilość kwasu węglowego czyni ją tak mile musującą w piciu i dla żołądka strawniejszą. Piliśmy jej też z początku niewiele podług uncji na kubku zaznaczonych, a potem wprawiliśmy się tak, że za każdym razem duszkiem wychylaliśmy kubek ze smakiem!

Henryk trochę grymasił nad żętycą, ale ja, żeby go zachęcić do picia, piłam zawsze dobrowolnie jeden kubek żętycy na czczo, a potem dopiero wodę.

Tośmy też zdrowieli w oczach. Za dwa tygodnie w całym Żegiestowie nikt tak wybornie, rumiano nie wyglądał, jak my obydwójce, nikt tyle nie biegał po wszystkich ścieżkach i spacerach, bez zmęczenia.

Z początku mieliśmy niewygodne pomieszkanie, ale później, w ten sam dzień po wyjeździe państwa C., sprowadziliśmy się do ich mieszkania z balkonem. Usługująca nam dziewczyna, Hanusia, perswadowała, że trzeba pokój wpierw umyć, posprzątać, ale kiedyśmy ją poprosili, zwinęła się z tem spieszenie i tego samego dnia przeniesiono nasze rzeczy.

Pokój był widny, jasny, obszerny, a jaki śliczny widok z ganku! Dołem domki zakładu ginęły w zakrętach wąwozu, z obu stron zielone ramy gór przedłużały się w wąską, daleką perspektywę, aż po błękitne niebo, chmurki na niem i szczyty lesistych wierzchołków. U stóp domu, w ogródku pełnym kwiatów, szumiał strumyczek, przepływający wzdłuż całego zakładu i wpadający do Popradu.

W samym zakładzie jest gdzie chodzić przy piciu wody. Na dole, pod altaną muzyki – na przestrzeni od Popielatego Domu aż po Czołabka – w urządzonym tam ogródku są ławeczki, wysokopienne róże, duże drzewka kwitnącej fuksji, mnóstwo rezedy, astr[ów], cynii, lewkonii. Co za pokusa! Zrywać tego nie wolno. Altana wyrobiona po prostu z ociosanego drzewa, dowcipnie wprawiona w zieloną ścianę góry, wygląda jak gdyby sama tam wyrosła. Muzyka grywa w niej każdego rana i popołudnia.

Po Czerszli, tak się nazywa jedna z gór wąwozu, porobione są wygodne ścieżki, coraz to wyżej po stoku góry, aż w trzy „piąterka”, jak je nazywaliśmy. Przy ścieżce na drugim pięterku jest mała kapliczka, a raczej domek, uchodzący za kapliczkę, z dzwonkiem u drzwi i ołtarzykiem w środku. Tutaj odpowiadają co dzień mszę św. księża bawiący na kuracji. Zbiera się składka na nową, ozdobniejszą kapliczkę. Daleko na zakręcie ścieżki jest znowu altanka, z niej przesłiczny widok na Poprad, aż do tunelu kolejowego, na długą łączkę nad rzeką i na zielony gaik na węgierskiej Łopacie. Tak się nazywa wzgórze na drugiej stronie Popradu, który stanowi tutaj granicę pomiędzy Galicją a Węgrami.⁴

Wstawszy wczas rano, zanim słońce zza gór się wynurzy, cudnych widoków z mgły, gry światła i cieni napatrzeć się tu można. W całym wąwozie siedzi wtedy gęsta, biała mgła, nie widać domków ani drugiej góry, Poprad, łączka, wzgórze Łopaty, wszystko zniknęło, białe morze w przestrzeni, niewidzialne fale rzeki szumią tajemniczo. Wychodziliśmy wtedy na najwyższą ścieżkę, na trzecie pięterko, gdzie wycięta grabina otwarty widok zostawia, a ujrzelśmy ponad mgłą w dole czysty już błękit nieba, zza sąsiedniej góry wychyla się złociste słońce, rzuca blask na świerkowe zagłębienie pod sobą.

Mgła zaczyna wahać się, drzeć – i w przyrodzie powtarza się to samo zjawisko, które tak ślicznie opisał Mickiewicz w VI. Księdze „Pana Tadeusza”:

(...) mgła nie szła do góry,

Jak się dzieć zwykło, kiedy zbierają się chmury,

⁴ Obecnie Poprad stanowi w tym miejscu granicę pomiędzy Polską a Słowacją.

*Ale coraz spadala; wiatr rozwinął dłonie
I mgłę muskał, wygładzał, rozścielał na błonie;
Tymczasem słońko z góry tysiącem promieni
Tło przełyka, posrebrza, wyłaca, rumieni.*

Za chwilę wyjrzał błyszczący Poprad, wyłoniły się okoliczne wzgórza, mgła ogrzana roz-
pierzchnęła się w powietrzu.

Zachód słońca, z przeciwnej strony za lasem, równie czarownie piękne, a zupełnie inne
sprawia oświetlenie. Raz pamiętam, a było to po deszczu, połowę nieba zasłaniała szaroniebieska
chmura, sam zachód płonął krwistą purpurą, na niej gorzała złota tarcza słońca. Poprad mienił się
wszystkimi barwami tęczy. Fale wody połyskiwały złotymi łuskami. Co za szkoda, że nie umiem
użyć znów słów którego z naszych poetów dla opisanego tego widoku! Ja sama opowiedzieć tego
dobrze nie potrafię, ale pewnie nie zapomnę nigdy.

Co dzień z rana przychodzi do zakładu mnóstwo hożych góralek z sąsiednich wiosek, przy-
noszą żętycę, mleko w fiolkach, przegotowaną śmietankę w garnuszkach, tanie i niezłe masło,
wieńce suszonych grzybów, śliczne poziomki i maliny. Na moje szczęście, pan doktor zdrojowy
pozwolił czasem po obiedzie zjadać talerzyk poziomek. Ale za to, jak przechodziliśmy koło fasek
drewnianych, z których przez wykrojone otwory przeglądały smaczne żółciuteńkie morele, ja
zamykałam oczy, dopokąd Henryk nie powiedział, iż ich już nie widać. Pan doktor stanowczo
moreli jeść zabronił. Najwięcej kobiet przychodzi z Andrzejówki i z dalsza, z węgierskiej strony,
a najmniej z samego Żegiestowa, bo tu we wsi lud ubogi a niezaradny, nie ma co do zbycia.

Zaszliśmy raz z ciekawości do wsi, do Żegiestowa, ale tam droga bardzo niewygodna do prze-
bycia. Poza zakładem, za przystankiem, jest w bok głęboki parów, niby jedno łóżysko górskiego
strumyka, cały zasypany kamieniami i poprzerzynany w zygzak płynącą wodą, a gdzieś tam
zawalony wywróconymi kłodami drzewa. Po bokach stoją z rzadka chaty góralskie, choć małe
i biedne, ale trwalej i lepiej zbudowane niż nieraz chałupy naszych chłopów na nizinach, bo
w górach łatwiej o dobre drzewo z niewyciętych lasów. Dalej stoi domek popa, księdza ruskiego,
tutaj wszystko górale Rusini. Chcieliśmy dojść do cerkwi, ale gdyśmy się spytali góralki, jak to
jeszcze daleko, powiedziała, że to jeszcze ćwierć mili blisko, i niemało się dziwiła, żeśmy aż tutaj
zaszli. Myślała, że chcemy odwiedzić groby przy cerkwi, gdzie, jak powiedziała, pochowano
kilkoro państwa, a w 1600 roku umarł ktoś także i tam został pogrzebiony. Poprosiliśmy ją
o mleko do picia. Gaździna wezwała nas do izby, a że nie było jakos czem nabrać, dała nam się
napić z wysokiego garneczka, widocznie całego podaju.

W ciemnej, dusznej, choć dość obszernej izbie, która stanowiła połowę chaty, oprócz starej
gaździny i najmłodszej wnuczki Franci, nie było nikogo. Wszyscy, korzystając z pogody, wyszli
na górę do pola. Żałuję, że nie przyjrzałam się lepiej całemu obejściu, ale spieszyło się nam, bo
wieczór się zbliżał, więc podziękowawszy gaździnie za mleko, wracaliśmy spiesznie, już nie dołem,
ale stokiem góry. W ten sposób, mijając prostą drogę, wyszliśmy za wysoko, tak, iż trzeba było,
jak to mówią: z pieca na łeb, spuszczać się bystro na właściwą ścieżkę.

Kiedyśmy tak schodzili, jakiś góral przystanął i – śmiejąc się – dźwięcznym głosem zapytał:

– Że się wam też chce tak spinać po gorze, kiedy tu jest równa droga!

– Ano widzicie – odpowiedzieliśmy mu – jak kto zawsze po równem chodzi, to coś go
ciągnie do góry.

– To prawda – zaśmiał się góral. – A z daleka wyście są! – I zaczęła się pogawędka. Góral szedł
z nami drogą, był z Andrzejówki [Andrzejówki], opowiadał o zakładzie, o odkryciu źródła. Znał
równiny, był w Krakowie, a kiedyśmy mu przychwalali, że tu u nich w górach tak ładnie:

– Oj jak tu ładnie – zawołał – ziemia nie daje nic, ani kiedy zasiać, ani zebrać! – I wzdychał
stary.

Inna wycieczka piesza – najbliższą drogą, przez las, do krzyża na górę. Pod górą przechodzi tunel kolei żelaznej, i dalej tędy ku Muszynie, Krynicy, dalej na Węgry. Widok od krzyża cudowny, na każdą stronę inny. Od zachodu Poprad wije się w zakręty, tworząc formalną ósemkę, oblewa dwa wzgórza – półwyspy, dwie Łopaty, polską i węgierską. Nad samą rzeką szosa kolejowa, przystanek, zielona Czerszla z altanką na przedzie i piękny świerkowy las przeciwległej góry. Na wschodniej stronie rozkwitła równina, zamknięta z boku wieńcem gór. Wsie Andrejówka, Mniszki i inne – góralskie chaty, wieża cerkiewki, środkiem Poprad, przezeń rzucony most na węgierską stronę, do zamożnej, gęsto zabudowanej wioski.

Raz, za naszej tam bytności, kiedy posiadawszy pod krzyżem patrzyliśmy na ten śliczny Boży świat, od stóp góry, od strony Andrejówki, dochodziły nas stłumione, coraz głośniejsze dźwięki górskich dzwonek, kłokotek blaszanych, które zazwyczaj wiążą owcom na szyjach, i spoza krzaków wychylać się zaczęły łebki z rogami i bez rogów, a skubiąc trawę dzwoniły, wychodziły coraz bliżej do nas. Było to spore stadko owiec i kóz kilka. Szedł z nimi pasterz z dużym białym psem owczarskim. Młody góral sam rozpoczął z nami rozmowę pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony”, przedstawił nam po imieniu kędzierzawego Dobosza i drugiego młodszego „ciucękę”, opowiadał nam liczne starszego przymioty, jako stróża baranów, a zobaczywszy leżącą obok nas książkę, pytał, jaka to, polska czy ruska?

– A polska – rzekł, oglądając – ja znam tylko po rusku, ale teraz to już uczą u nas w szkole i po polsku.

– A widzisz – rzekł mu Henryk. – Jak wy mówicie po rusku, a my po polsku, to się rozumiemy doskonale, a czytać to się trzeba uczyć każdego z osobna.

Henryś mówił, że to wielka szkoda, że nasi Rusini nie piszą łacińskimi literami, tylko grażdanką (...).

– Przyjdźcie do nas do Andrejówki – zapraszał [góral], gdyśmy się z nim żegnali.

Chcieliśmy pogłaskać Dobosza, ale niecnota groźnie warczał, nawet do małego „ciucęki” na bliżyć się nie pozwolił.

Inna wycieczka, również miła, to na drugą stronę Popradu do Sulina, zatem już do Węgier. Przepływa się promem rzekę, idzie się potem równą łączką koło lasu i kawałka ornego pola, zasianego rzadko tu spotykanym żytem, aż na samo miejsce.

W Sulinie jest źródło wody mineralnej, właściwie kwaśnej, bez wybitnych części leczniczych, używanej jako orzeźwiający napój – samej lub z winem, podobnie jak sztucznie fabrykowana woda sodowa. Źródło z wierzchu pokryte dachem, szeroko ocembrowane kamiennymi stopniami, po których schodzi się aż nad samą wodę. Smak wody dosyć dobry, trochę słonawy. Dawniej woda ta miała wielki odbyt [zbyt] i dziś jeszcze wysyłają znaczną ilość w głąb Węgier. Sulin jest własnością baronów Salamonów, właściciele Niedzicy i innych dóbr w tych stronach. Górale przy źródle mile wspominali dawno już zmarłą „baronkę” Salamonową, która tam często przyjeżdżała miała i osobiście doglądała robót przy źródle. Jej to kosztem, jak powiadali, postawiony jest nad zakładem na spadzistej ścianie skały żelazny krzyż z napisem, którego z dołu dojrzeć niepodobna.

(...) Z Żegiestowa jeździliśmy na parę dni do Krynicy, a przed powrotem do domu zwiedziliśmy Szczawnicę, Czorsztyn, Pieniny.

Ach, tyle jeszcze prześlicznych widoków przesunęło się przed naszymi oczami, tyle miłych chwil przeszło, tyle ciekawych wiadomości utkwilo w głowie! O tem trzeba by osobno opowiadać. (...)



Ilustracja z miesięcznika „Światelko“ (1887 r.)